

UŚMIECHY BOGA

JÓZEFA AL. GAŁUSZKI:

„PROMIENI i GROM“ J. Czernecki Kraków 1920.
(Nagroda konkursowa Min. Kultury i Sztuki)

„BIESIADA KAMELEONÓW“ Gebethner i Wolff 1921.
(Nagroda konkursowa Min. Kultury i Sztuki).

Okladkę rysował Witold Florkiewicz.

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

UŚMIECHY BOGA



*Kolekcja w
imiu imienia
od S. Maciejewicz
Biblk 23/V 62r.*

Gebethner i Wolff

Warszawa — Lublin — Poznań — Łódź

Kraków — G. Gebethner i Spółka



144044

K-201/82

*I zda mi się niekiedy,
żebym mógł
iść między ludzi, jak Pański wybraniec,
łzy ich osuszać i koić ich biedy —
przechodzić sętką dróg —
świat przewędrować od krańca po kraniec
i u każdego opowiadać proga
świętą ewangelię słonecznego Boga — —*

NA KOGOŚ CZEKAM

*Na kogoś czekam, ktoś — zda się — otworzy
drzwi od pokoju nagle, niespodzianie —
gość, który z sobą przyniesie wicher boży,
złotego słońca jasne całowanie
i przestworami lice roześmiane — —
(wieczna tęsknota od dzieciństwa śniona)
Przyjdzie — — z radością ku niemu powstanę
i z szlochem padnę w otwarte ramiona — —*

*Nie umię nazwać kto to taki będzie —
Pielgrzym jakowys z dalekich przestworzy,
co z sobą wielkie przyniesie orędzie
i to z uśmiechem przede mną położy — —*

*I przez łzy szczęsne odczytywać będę
pismo, promieñmi kreślone przez Boga —
prostą a wielką, odwieczną legendę,
co do niskiego zabłądziła proga — —*

NAJDOSTOJNIEJSZY GOŚĆ

*I przyszła miłość w mój dom,
miłość tak prosta, serdeczna,
jaka się dzieci jawi snom —
miłość radosna —
miłość bez troski —
wieczna,
jak wieczną jest wiosna,
jak uśmiech błękitów boski — —*

*Przyszedeł oddawna gość oczekiwany,
przytulił mnie uściskiem
do swojej białej, prostaczej sukmany
objęciem ramion tak bliskiem,
żem słyszał serca jego stuk — —
poznałem: Bóg
dobry zaszedł w mój dom —
Płakałem —
pozwoilił płynąć radosnym łzom
i śmiał się licem słonecznem Swem całym
i serce moje całował — —
Niebo się samo
na wiązanie pował
zsunęło — patrzyło — —*

*Nie wiem, jak przyszedł, bo nie wchodził bramą,
a był mi tak dziwnie kochany i bliski,
żem Go znać musiał chyba wieczność całą —
że to On pewnie u mojej kotyjski
siadywał, gdy matki nie stało —
że to On czuwał zawsze, dniem i nocą
nad dolą moją sierocą
On, Bóg — —*

*Nie wiem, jak przyszedł i od których stron —
(nie zstąpił do mnie przez próg
Najdostojniejszy z gości — —)
Nie wiem, czy byłem w Nim, czyli we mnie On — —
Dziś my w ramiona padli sobie wzajem
w uścisku bratniej miłości
takim serdecznym prostym obyczajem,
jak przyjaciele najszczerzy — —
I nie dziwował się rzęsytm łzom,
które z mych oczu padły Mu na piersi — —*

Przyszedeł i miłość przyszła z Nim w mój dom — —

ŚWIĘTY DZIEŃ

Ludzie się słońcem upili bez miary,
pierwszym dniem wiosny —
szli rozbawieni — —
Szeroką ławą poprzez trotuary
tłum się kołysał radosny — —
Człek jaki taki wyszedł z mrocznej sieni
i w jego lice
trysnęło słońce od nieba —
Śmiał się, trosk zbyty powszedniego chleba,
pijany światłem i żarem — —
Hej! Bóg ci zeszedł dziś w miasta ulice
i chodził z ludźmi w słońcu trotuarem — —

I dziś nie było tam w tłumie
bogaczów, nędzarzy,
jeno lud mnogi
na jakiejś wielkiej, uroczystej sumie,
którą pod niebem u słońca ołtarzy
odprawowały świętej wiosny bogi — —

I nawet żebrak, ten bez nóg
nie nagabywał, nie skamlał, jak codzień,
lecz śmiał się w słońce, przysiadłszy na ziemi —

Śnać pojął, że ów niezwykle przechodzień
w radosnym tłumie — to Bóg,
chodzący z ludźmi jak równy z równymi — —

Śmiał się — tży dziwne dławily go w grdyce:
Bóg mu dłoń ciepłą kładł na licu szarem,
Bóg, co dziś zeszedł na miasta ulice
i chodził z ludźmi w słońcu trotuarem — —

JEJ LIST

I

Szlibyśmy wielką, swobodną przestrzeń,
gdzieś w jaśń słoneczną —
łąką, gdzie kwiaty symfonią się mienia
cichą a wieczną — —

Albobyś ty zypała swe włosy
na piersi złotą strugą —
albo w migotach porankowej rosy
bieglibyśmy jak dzieci
ku słońcu długo — długo — —

albobyśmy usiedli
w cieniu poważnej i rozumnej jedli
w ciszy i świętej i wielkiej —
tylko bym o pierś twą oparła głowę,
warg bym nie gryzła, by z nich krwi kropelki
spływały, nito perły rubinowe —
tylko leciuchno bym cię całowała,
przytulona do ciebie miłośnie
serdeczną troską dziewczęcego ciała — —

PRZYCHODZĘ CODZIEN

Przychodzę codzień upity
pocałunkami twojami — —
śpiewam, aż trzęsą się ściany —
tańczę z obrazmi świętymi — —

Śmieją się ojców portrety
(do śmiechu nazbyt nie skłonne)
i uśmiech nawet okala
rafaelowską Madonnę — —

Nie przeczuwałem ja nigdy
takiego szczęścia ogromu:
na słońce-m rozwarł szeroko
drzwi mego serca i domu — —

PÓJDŹ ZE MNĄ

Pójdź ze mną w słońce, dziewczyno —
twarz swą do moich przytul lic:
niech się twe oczy w cichej mgłę rozptyną —
niech wargi żrają krwawą jarzębiną —
i nie mów — nie mów nic — —

Cisza słoneczna nam dusze prześwietli,
ubłogosławi uścisk naszych dłoni — —
Słysz! lipa pieśnią skrzypcową pszczół dzwoni —
trzmiel grzmi nad kwiatem pomrukiem basetli — —
Oto nam Pan Bóg wyprawił wesele —
Sam ci się do nas wprosił na starostę
i stwory Swoje sprowadził na gody —
powietrzną, szumną dostawił kapelę:
pożłote pszczoły i kosmate trzmielce —
a wszystko za te serca nasze proste
i za nasz uśmiech swobody — —

Za to, żeśmy Go radością uczcili:
wielką, dziecinną prostotą —
nad naszą chatą w dzień godów wigilji
cicho zawiesił szczęścia gwiazdę złotą — —

I szczęście ku nam idzie każdą miedzą,
idzie z rozstai, z kwietnych polnych dróg —
Dziwią się ludzie, bo pewnie nie wiedzą,
że nam na godach starostował Bóg — —

TWOJE CIAŁO

Twoje ciało pachnie glebą,
świeżo pługiem rozoraną
we wiosenne boże rano,
kiedy to od ziemi wnętrza
radość życia przenajświętsza
mocnym krzykiem bije w niebo — —

Kiedy chce się paść piersiami
ku tej ziemi na ugorze
i całować skiby boże —
kiedy człek ze szczęścia płacze,
że Bóg w serca zszedł prostacze
i zamieszkał między nami — —

Wiosną pachnie twoje ciało:
wilgną wonią skiby świeżej,
co pod siew otwarta leży,
ponad którą po bezkresie
w tchnieniach wiatru szept się niesie:
A Słowo ciałem się stało — —

DUSZA

Tuliłaś się do mnie, jak ta wiotka trzcina
z szuwarów nad wodami,
co się za wiatru powiewem nagina — —
Rozkwitłe drzew korony
modliły się bielą i ciszą nad nami — —

Nad źrenicami twymi nachylony
trwałem w milczeniu głębokim — —
I nie wiem, czyli orzeł w poniebnym przegonie
o sto mł nad najlżejszym wzniesiony obłokiem
widział kiedy straszliwsze bezednie —
czyli mewa, nad oceanu zabłąkana tonie
przepaścistszemi leciała bezmiary — —

Zawisnąłem nad źrenicami twojemi
i zadumałem się bezwiednie
nad tą otchłanną tajemnicą ziemi
z głębin najgłębszą, nigdy niezgłębioną,
w którą radości, bóle i tęsknoty
padają i toną
na wieczne niepowroty — —

Wiśniowy biały kwiat
na czoło twoje padł
i uśmiech rozchylił twe usta — —



ZMARTWYCHWSTANIE

Rezurekcyjne dzwony się ozwały
gromko, potężnie, radośnie
hymnem pogody i dumy i chwały
Bogu i słońcu i wiośnie — —

Świat się zastłuchał w pieśni majestacie —
w ciszy zachodu pogrążył się cały — —
(lud poszedł w kościół tłumnie w świętej szacie)
Niwami Chrystus chodził Zmartwychwstały,
z rozpostartymi szeroko ramionami
ku każdej skręcał chacie — —
a dzwony
grały i grały — —

Poszliśmy polem dalekiem, szerokiem
ze szczęściem naszym sami
święcić serc własnych szczęsne zmartwychwsta-
Na oziminy zarunionym łanie [nie — —
stanął On, Chrystus, przed nami
świetlistym, jasnym obłokiem
i błogosławił serc naszych prostocie:
w radości wielkiej schyliliśmy głowy — —

A zachód, strojny w ornat purpurowy,
czynił obrzędy kapłańskie:
dźwigał monstrancję słoneczną nad światem,
kowaną w jasnym, płomienistym złocie
i ukazywał oblane szkarłatem
zmartwychwstałe, żywe Ciało Pańskie — —

Pierś nasza była tak szczęściem wezbrana —
tacyśmy byli na duszach swych biali,
żeśmy przed słońcem padli na kolana,
żeśmy z nadmiaru radości płakali — —

A dzwony grały i grały
gromko, potężnie, radośnie
hymnem pogody i dumy i chwały
Bogu i ludziom i wiośnie — —

O ŚWICIE

*W pszenicznych kłosów sennym rozkołysie,
w rozchwiei wiech owsianych i jęczmion chybocie
przepych poranku brylantami skrzy się
na pół daliźnie bezbrzegiej — —
Opył różowa w słońca bladym złocie
zawisła w mgłach,
co się daleko hen, po widnokręgi
rozsnuły we wstęgi
białe, jak śniegi — —*

*Kłękamy wtedy do modlitwy rannej
na jakiejś miedzy lub łące
i z nami razem modlą się dziewanny,
purpurne maki, bławaty milczące,
ciche stokrocie, liljowe kąkole
i to rozszumne, dalekie, bez końca,
rozkołysane, rozszepcane pole
w uśmiechach słońca — —*

*I te o bladym kwieciu dzikie róże,
modre łubiny i ów rzepak złoty
i one łanów zbożnych nieodstępne stróże:
polne straszaki, odziane w kapoty,*

*których się szare wróble, niw tych gospodarze
nic a nic nie boją —
to wszystko, wszystko razem upada na twarze
przed łaską Twoją i miłością Twoją —*

W TWYCH JASNYCH DŁONIACH

W twych jasnych dłoniach się rozmiłowałem —
w bajce ich tkliwej, przedziwnej pieśzczoły,
co się na skronie kładzie kwieciem białym,
jak sen ukojny, słoneczny i złoty — —

Pocałunkami wypijam z nich ciszę — —
(są mi ambrozji najczystszej kryształem,
z którego chłonę nasenne haszysze — —)
W twych jasnych dłoniach się rozmiłowałem — —

Kocham rąk twoich atlasowy dotyk —
dłoni twych linje, w których czytać lubię
cudny, przez Boga złożony erotyk,
podyktowany pod pióro cherubie — —

Kocham twych palców strzeliste przeguby —
chłodnych paznokci różowe migoty —
szafir w pierścieniu najczyściejszej próby
i branzolety misternej roboty — —

Kocham rąk przegub leniwy, węzowy,
z każdą mi żyłką znaną i pamiętną — —
Tu, pod wargami, do skóry różowej
przytulonemi, czułem serca tętno — —

BŁOGOSŁAWIENSTWEM

Błogosławieństwem bożem są mi twe całunki,
opadające, jak róże na skroń
ciepłe, utulne, kojące — —

Błogosławieństwem twa pieściwa dłoń,
tkliwa dłoń matki, kochanki, piastunki,
w której ukojeń, uciszeń tysiące — —

Błogosławieństwem są mi oczy twoje —
ich cicha troska, rzewna i siostrzana —
i darem bożym złotych włosów zwoje,
które na oczy zsypujesz mi zrana,
żeby mnie słońce nie budziło wcześniej — —

Błogosławieństwem są mi twoje słowa,
jakby muzyka, zasłyszana we śnie —
cicha symfonia tęczowa — —

Błogosławieństwem są mi twe uśmiechy,
jakiemi witasz mnie zawsze zdaleka —
błogosławieństwem, które na mnie czeka
u proga mojej strzechy — —

A ON SAM PATRZY

Wychodzimy często we dwoje
na miedze, na pola, na łąki,
słuchać, jak szumią trawy i jak mruczą zdroje —
patrzeć na kwiatów nierozwite pąki —
na ten jęczmień zielony, wąsaty
i na owsów rozwichrzone wiechy — —
Idziemy, by pielgrzymi na dalekie światy,
pełni słonecznej uciechy — —

Odszukujemy ptasząt w wikłach skryte gniazdo
i patrzymy zdaleka na drobne pisklęta,
które karmi dostatnio dłoń można a święta — —
I wszędy, wszędy jeno stwierdzamy w pokorze,
że tu na pól ogromach Bóg jedynym gazdą,
że ta ziemia rodząca to gazdostwo boże — —

A On sam patrzy na nas z niebieskiej zagrody
z dobrotliwym uśmiechem Swych źrenic,
z pod udanie nastroszonych brwi
w powadze mlecznej brody:
patrzy tak, iże zda się, że nic
nie widzi, że w potędzie śni —
jako, że to Jemu nie bardzo przystało,

Jemu, co widział światy od kalenic
pękające na druzgi — co o wieczność całą
starszy od ziem, stworzonych ongi, przed stuleć-
że to Jego powadze nie bardzo przystało [mi —
z dobrotliwym uśmiechem baraszkować z dzieć-
[mi — —

Miłośnię gładził nam lica
 czarnego boru wiew,
 a sosen świeża żywica
 woń swą rozniosła szeroko nad ziemią —
 jakby dym kadzideł z ciężkich trybularzy
 rozpełzła leniwie kolumnadą drzew — —
 Chaszczce i krze przyziemne w zadumaniu drzemią,
 by w mętach kadzideł ci święci z ołtarzy
 nad falą modlitew szemrzącą — —

Po wierzchołach boru wiatr gwarzy:
 czuby masztowych świerków wokół się kotyszą
 sennie, bezwładnie — czasem potrąca
 się wzajem — zaskrzypią, jak żóraw u studni
 gdzieś we wsi, słoneczną napętnionej ciszą
 upalnych, lipcowych południ — —

Weszliśmy w mroczny las,
 całą piersią żywiczne chłonięliśmy wonie
 i modlitewna cisza otuliła nas
 szeptem, co niósł się po świerków koronie,
 on duszy lasów nieświadomy zew — —

Zdjęliśmy nakrycie głów
 przed majestatem drzew,
 stojąc w zadumie bez słów — —
 Oparłeś głowę na mojem ramieniu —
 las zastygł, skamieniał, zgłuchł,
 tylko serca nam były rozgłośnie — —
 I byliśmy na jakimś świętem Podniesieniu
 ofiary, którą składał duch
 lasu, duch drzew powracającej wiosnie — —

NIEKIEDY

Niekiedy siadam na miedzy dalekiej,
w rozchwiejnych zbóż szemrocie,
wśród żrałych pszenic i żyt —
gdzie mi swe dłonie kładzie na powieki —
dłonie różowe, ciche jak stokrocie
słoneczny, jasny zwid — —

Wonczas przez piersi moje coś przepływa,
jakiś przezczysty dziw —
jakby świetlista, święta dusza żywa
tych bożych pól i niw:

Majestat cichy a nieogarniony —
pełen ukojeń wielkie Sakramenty —
rozkolebane gdzieś pod słońcem dzwony
i w zbóż pokłonach: Święty, święty, święty — —

Kiedy zaś wracam do domu przez pole,
ty u kwietnego czekasz mnie rozłoga —
w całunku, który kładę na twem czole
jest coś z pól ciszy — coś z miłości Boga — —

TE CICHE, JASNE NOCE

Te ciche, jasne noce rozgwieźdzone
w naszym rozkwitłym, wonnym sadzie — —
srebro ciekące przez wiśni koronę
w zastygłej, martwej kaskadzie —
srebro, co z niebios dalekich spływało
strugą poświaty mleczno-białą
na twoje chłodne ciało — —
Noce święte, błogostawione — —

Na twoich piersiach kładłem głowę
i w gwiezdne patrzyłem ogromy — —
Serca twojego rytmy miarowe:
życie — — a tam, zaświatów drogami
chodził On, wieczny Bóg widomy —
wysoko, wysoko nad nami — —
chodził tam i sam — gwiazd kobiercem
i dumał, dumał nad człowieczym sercem — —
Noce święte, błogostawione — —

Pojąłem wonczas, że radość i ból
to jedno:
plon jednako oranych i obsianych pól — —
że mroków otchłanne bezedno

*i światło tęczową rozedrgane gamą
to jedno — jedno to samo — —
że niema granic między nicością a bytem —
między tem, co trwa i co już minione
i między kroplą rosy a niebnym błękitem —
O noce święte — błogostawione — —*

ŻABI SEJMIK

Staszкови Kosińskiemu

*Bóg w głębie nocy zapuścił zwysoka
olbrzymią sieć niewodu złotego,
w którym ci były z gwiazd wiązane oka —
(pewnie na połów ludzkich dusz)
i sieć upadła na świat
wszerz i wzdłuż — —
I przeciągana ręką Przedwiecznego
przez fale ponocnej bezdeni
drżała w migotach ros na łanach zbóż,
zaczepiała o cichy, rozkwiecony sad,
na drzew gałęziach wśród cieni
zostawiając niewodu złociste włókienka,
aż wreszcie ją boża sprowadziła ręka
na ciemny staw,
otułony przez kwieciem osypane tarnie,
gdzie wśród szuwarów i traw
na różne głosy i nuty
ponośnie a gwarnie
wiodły wiecowe dysputy
żaby chórami mnogimi — —*

A głosów tam było bez miary, bez liku,
niby na wrzawnym, szlacheckim sejmiku — —
Wszystkie się gardła odzywały wraz
tenorem i altem, ale ponad niemi
górował mocny bas,
jakby się jakiś pieniacki szlachciura
wydzierał wniebogłoso,
czując, że tutaj inaczej nie wskóra,
a przecie to od niego tylko, na Bóg miły,
dziś Rzeczypospolitej zawisnęły losy,
więc darł się ile gardła, ile jeno siły — —
I w końcu przegardłował zgromadzenie całe
i basem wykrzykiwał wiecową uchwałę:
My, wolne żabie stany, zebrane w tym stawie
niniejszem wznosim protest na jawne bezprawie,
że nie możemy swobodnie sejmikować w dzień —
gdyż żyje tu opodal niebezpieczny stwór,
co gniazdo splótł nad strzechą,
i którego klekotu zatrważa nas echo
i skrzydeł straszy cień — —
On to, pod żabi sejmikowy wtór
zachodzi w dzień wzdłuż miedz
krokami dyplomaty
na wiec — —
Podsuwa się chytrze, przystaje na czaty,
przechyla łeb na boki,

nibyto w niebo zapatrzony wielce —
dmie pierś dostojnie pod białym gorsetem,
dyplomatycznym brzemioną sekretem —
w białej, pikowej chadza kamizelce,
czarne ma poły u kusego fraka —
nogi czerwone, cienkie, jak piszczele
i dziób, dziób-kłapacz straszliwy — —
Przeciwko niemu protest zasyłamy — —
Wszech żabich stanów uchwała jednaka
zapadła — kreskę zebrano tu wiele —
Jeszcze dziś poseł poprzez różne niwy
ruszy ku gwiazdom wprost przed Pańskie bra-
[my — —

Skończył — i żabie rozgrały się chóry
w głośnym aplauzie, jakby gdzieś w kościele
dalekim organ rozwichrzył się srodze — —

A Bóg, co siedział na okraju chmury,
niby rybak na skale, hen, przy mlecznej drodze,
zapuszczał w noc sieć łowczą złotego niewodu,
pewnie na połów ludzkich dusz — —

PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE

*I mówi do mnie Bóg dobrocią twych oczu,
gdy do mej piersi tulisz dziecięcą swą twarz —
On, mieszkający kędyś w dalnym zaobłoczcu,
słońcem zamykający chaty Swej podwoje,
do którego w pacierzu mówim: Ojcze nasz,
któryś jest w niebie — święc się Imię Twoje —*

*I mówi do mnie Bóg twojemi łzami,
twoją tęsknotą, ukochaniem twojem,
kiedy w obliczu gwiazd stoimy sami
pod ciszą nocy, światów zasypaną rojem —
kiedy stoimy we dwoje
i ty bezwolnie na piersi mej łkasz —
On mówi do mnie znów,
On, błagany zaszepem wypraszałnych słów
modlitwy: Ojcze nasz —
przyjdź Królestwo Twoje — —*

*I czasem mi Pan pozwoli
przypatrzyć się oczyma Swojemi
człowieczej doli i niedoli
z odległej, nieznannej ziemi
przez wieków perspektywę:*

*Nie widzę stamtąd już ludzkiej udreki,
li ukojone serca, światłem żywe,
w błogostawieństwie ciszy bożej ręki — —*

*I zdaje mi się wtedy, jakbym był
już po tamtej, tamtej drugiej stronie,
gdzie postawiono wiekom gwieźdną straż — —*

*Zasypiam wonczas cicho na twem łonie — —
na oczy pada złoty pył:
włosów twych zwoje
i szept modlitwy twojej: Ojcze nasz —
przyjdź Królestwo Twoje — —*

W RADOSNEJ PODZIĘCE

Garść płatków polnych róż,
wilgotnych jeszcze od porannej rosy
sytałem twojem ciałem wzdłuż — —
spadał w ramion bezwolnym rozpłocie — —

Jak zatulone dwa lotosy
paki twych piersi dźwigały się w górę — —
Spadał we włosów rozburzonych złocie
i ustami brzaskową chłonełś purpurę,
płonącą już na szybach naszej cichej chaty —

Nie zbudził cię różanych płatów chłód — —
Stałem nad tobą w zapatrzeniu długo — —
i nagle spostrzegłem, że nie byłem sam:
słońce, nasz gość poranny — weszło złotą smugą
od uchylonych wrót
i od okiennych ram — —

Ostrożnie, lekko wzięłem cię na ręce,
przystając w blasku promiennym na progu,
aby w radosnej podzięce
ukazać cię i słońcu i Bogu — —

MAKI

Skądże ty maków przyniosłaś tyle,
cała ich krasą spleciona?
Czerwone maki, jak krwawe motyle
opadły chmurą na białe ramiona
i grają w słońcu szkarłatną symfonię,
karmazynową chęłpią się sonatą — —

Żywą purpurę w liljowe swe dłonie
zgarnełaś kędyś na złotym zagonie
i cała w ponsach stanęłaś przed chatą — —

Umiłowane ty moje kochanie — —
i skądże maków przyniosłaś tak wiele? — —
na których łakach i na czym łanie
takie się morze płomieniste ściele?

I skądże tobie te pyszne szkarłaty?
Królom ci one, kneziom, kardynałom — —
Przyszłaś w purpurze na próg cichej chaty,
jak Południca zeszałaś do mnie w swaty
i krwią płomienną od lic twych powiało — —

Skądże ty maków przyniosłaś aż tyle?

DAŁAŚ MI CHWILE

*Dałaś mi chwile tak szczęsne bezmiernie,
o onej ciszy ukojnej, niebiańskiej,
jaka się we mgłach kładzie ponad ściernie
wieczór, pod dzwonów hymn na Anioł Pański —
żem był, jak wiatrem nietknięte zwierciadło
wód, niezmaczonych w zacisznej cysternie,
w którą od nieba gwiazd tysiąc upadło,
w głąb niedosiężną — bez szmeru, bez drgnie-
[nia —*

*że noc w mej duszy źrenicą pobladła
widziała tajnie najskrytsze sumienia — —*

*I dałaś chwile tak wielkie rozkoszą,
że aż bolesne od żądz, od szatu —
żem lkał, jak dziecko, któremu sny płoszą,
łzami się jeno skarżąc twemu ciału — —
Byłem, jak ptak ów, burzą uniesiony
i na powietrzu rozdarty wichrami — —
W skroniach mi grały krwi płomienne dzwony —
w łunach się niebo łamało nad nami — —*

*Do piersi twojej przytulałem głowę,
z bólu się mego jednym skarżąc słowem:
imieniem twojem — —*

ŁZY

*Widziałem łzy na twoich rzęsach zawieszono —
kochane, słodkie łzy — —
a źrenicami, jakby przez osłonę
mgły
śmiałaś się do mnie tak serdecznie, szczerze
dziewczęcą duszą swą całą,
jak one kwiaty o rumianym świetle
z snu rozbudzone, świeże,
na których pąkach rosą zapłakało
radosne słońce w błękicie — —*

*Lubię tak bardzo zapłakane kwiaty
łzami porannych ros
całować, idąc wzdłuż barwnej rabaty
i śmiać się szczerze kwiatów duszą młodą,
ich nieświadomą, królewską urodą
całemu niebu w głos — —*

NAD KSIĘGĄ

Czytam — — litery, jak skarabeusze
czarne, maleńkie przechodzą przez kartę —
idą szeregiem widma: ludzkie dusze,
serca na dłoniach trzymając otwarte — —

Wiersze po wierszu — — Czarne żuki zgrają
pełzną — skrętami opasują ziemię
i na swych grzbietach maleńkich dźwigają
człowieczych myśli i udręki brzemię — —

Idą i idą, snują się po karcie
drobniutkie żuki, pokraczne litery —
przez wpół przymknięte źrenice uparcie
pełzną w głąb duszy człowieczej na żery — —

Wzniesienie powiek — — bezwolne wpatwienie
ku onej sferze dalnej, niewiadomej,
u której granic spią wichry-płomienie,
czatują chytre węzowiska-gromy — —

I nagle — w pustkę wydzwigasz ramiona:
Oto przychodzi z wonnemi ustami,

w chybocie bioder, rumieńcem splotniona
o stromych piersiach, skwitłych róż pąkami — —

Koncha biodr białych — oceanu fali
rzeźba precudna — w rytmach się kołysze — —
Z jej warg, z dwóch żywych gałązek koralu
niechwytna słowa upadają w ciszę — —

JEJ LIST

II

Piszę do ciebie, bom pełna jest smutku —
bo mnie porywa za tobą tęsknica — —
tyle ci dzisiaj powiedzieć-bym chciała,
ale napisać nie umiem — —
więcej-bym rzekła szeptem, pocichutku —
jednym serdecznym spojrzeniem w twe lica —
jednym pieściwem przytuleniem ciała
w cichej słonecznej zadumie — —

Dźwiga się do cię krzykiem z mego łona
jakaś modlitwa wielka, roztęskniona,
rzewna, błagalna: byś był tylko mój,
niczyj a mój, jak ja jestem twoją,
nietylko ciałem, ale duszą całą —
żebyś brał ze mnie nietylko pieśczętę,
lecz by był moim twój trud i twój znój —
żeby ci była ciszą i ostoją —
żeby się naraz do nas słońce śmiało
serdeczne, złote — —
i bym ci była szczerą powiernicą
w chwilach załamania, kiedy serce twoje
troski przesycą,

czoło osepia smutki, nieukoje — —
Nie kryj ich, nie kryj przede mną:
pieśczętą matki wtedy cię utulę —
na mojej piersi nacichną i zdrzemną
twoje udreki i bóle — —

Dobrze mi teraz, choć wzbierają we mnie
łzy: jakiś przypływ to cichej rzewności,
cieplej a tkliwej i takiej tęsknoty
żałnej za tobą — — czasami krzyk krwi:
maki płomienne — — ale tylko chwilę —
i znowu łzawe a szczęsne ujęcie
dobrej twej głowy — i usta na oczach
twoich i na czole — —

(bezkresnych łanów modlitewne szumy — —
konwalijowe, bieluchne zadumy — —)

NA GRANI TATR

Hen, na grani tatrzańskiej
uderzył wicher w mą pierś —
wicher rozhulany, bezpański,
co to na turniach jęczy,
jak organowe fletnie
i od przełęczy do przełęczy
dmie, świszcząc przez kosodrzewie —
toń jezior w skiby rozorze —
siklawic strumień rozetnie
wpół i w rozwiewie
srebrzystych kropel rozniesie
na przestworze — —

Wicher uderzył w mą pierś,
świszczący wicher z nad skał,
co w niebnym bezkresie
ortowe skrzydła rwał
i czuby turnic siekł
i gnał
przez żlebów wieczny śnieg,
przez łom i gruz
i niósł
zapachy hal,

zaszumy drzew
ku szczytom krzesanic
na niebios dal,
na światów dal — —
tatrzański wiew
roztańczony, rozśpiewany
na świat bez kresu, bez granic — —

Hej! — wicherze, wicherze opętany!
w granitowe siekąc ściany
gładziłeś mi skroń —
a przez włosów moich burzę
w zaświstliwej twej wicherze
Bóg przesuwiał dłoń — —

ŚWIĘTY BOŻE

Wichr gruchnął w grań huraganą fugą:
zadął na szczybach turnic, by w organów rury —
w grzebienie skał wszczepił potworne pazury —
przejechał po grani jak po klawjaturze —
nastroszył brodę długą —
otworzył miechów dmuchy —
przebiegł pedały,
aż granitowe warknęło podnóże,
a na toń jezior padł grozą strach biały
od ryku basów — co ziemią szedł głuchy — —

Na cały organ dmie:
górką rozwichrzył świstliwe soprany
na poszczerbionych krzesanic krawędzi — —
Po źlebach grzmi oktawą
na klawjatury dwie:
wali w przyjękach o upłażne ściany,
po kosodrzewiu zaszumami gędzi,
aż naraz śmignął błyskawicą z chmur —
uderzył w bas, w pedały —
i pod gromowy wtór
na nieba przestworze

ponad świat struchlały
zahuczał przeogromne: Święty Boże — —

Zmartwiały turnie,
spopielaly głazy,
najpotężniejsza wiała niebem pieśń
w łomotach wichru, rozszumnie a górnie —
w gromów porykach, w błyskawic kurniawie
ponad przepastną cieśń —
wiała w przydechach nad martwe upłaży
huraganowa pieśń,
o Bożej mocy i sławie — —

I Bóg się pewnie Swej potęgi zląkł,
bo Mu przez chmury wysunął się z rąk
gromów różaniec długi
na nic błyskawic nizany — —

Arcymistrz wicher, organista boży
dął w wszystkie miechy, na całe organy
wskróś wszelkich ziem, na przelaj przestworzy
huraganowe fugi — —

NIEDŹWIEDŹ

Tadkowi Fiatkowskiemu

Padła ci na świat okrutna sześoga
z zenitu, w dzień sierpniowy —
dyszała żarem na rżyskach u stoga
w ćwierkaniu świerszczów — — Pomroczone dą-
nacichły w świętej zadumie — — [browy
Tylko z nad turni, z nad skalnych grzebieni
w ogromnych skrzydlisk zaszumie
podniósł się orzeł i mknął po przestrzeni
niebios w samotnej podróży do słońca — —

A kosmacz-niedźwiedź, patryjarcha lasów
okolnych w górskim rozłożył się żlebie
i zasłużonych używał wywczasów:
na słońce wywlókł sterane kościska
i z zacisznego śledził legowiska
taniec Południc na niebie — —
Wyciągnął przed się olbrzymie pazury
i na swe łapy kosmate
złożył dostojnie sędziwy łeb bury,
mrużąc ślepiami raz wraz — —

Śnił: w księżycową srebrzystą poświatę
schodził ku dołom przez odwieczny las,
bo hen, od równi dalekiej
szedł powiew owsianych pól
i zapach miodnej pasieki — —
(przy ludzkiej sadybie stał niepilnowany,
uśpiony pszczelny ul — —)
Szedł zamaszycie przez owsiane łany,
przez cudzą włość —
zachodził w ciche sady
na sute, sute biesiady
on, nieproszony gość:
wyjmował miodne plastry,
omiatał łapą z brzękliwej hałustry
i ssał — —

Kosmaty niedźwiedź, patryjarcha lasów
okolnych, w górskim rozłożył się żlebie
i zasłużonych używał wywczasów — —

Z zagrody Swojej od nieba,
południa godziną oną
zszedł po upłazach skał
największy gazda, Bóg — —
Przechodził właśnie tą stroną,
gdzie była głaźna koleba,

w której zażywał drzemki
brunatny niedźwiedź-mruk — —

Gazda niebieski podszedł cichuteńko
(góralskie nosił ciżemki)
i łeb niedźwiedzi głaskał boską ręką — —
Kosmacz, któremu woniała zdaleka
niwa owsiana za borem
i przez sen grała o stu pniach pasieka,
z oskomy wilgłym mamrotał jęzorem — —
Nagle się zerwał zbudzony ze snu,
potworne dźwignął cielsko,
na łapach stanął dwu —
ryknął, aż w turniach ozwały się echa — —
Spojrzał: tuż przed nim twarz czyjaś anielsko
do niego się uśmiecha — —

Stropił się niedźwiedź, bo rozpoznał Pana,
możnego Gazdę na niebo i światy,
przeto Go kornie podjął za kolana —
a Bóg miłośnie gładził łeb kudłaty — —

W SADZIE

Białe pnie drzew, równo stojące pod szereg
jabłoni, grusz i śliw — —
Środkiem pomiędzy drzewa,
niby wzdłuż rzędu, w płasach wstrzymanych tan-
słoneczny idzie dziw — — [cerek
Żarkiego słońca ulewa
złotemi plamy się kładzie
na murawie w sadzie,
na koniczyny kwiat biały
od letniej spieki przywiedły napoty — —

W ulach modlitwą senną rozszumiały
się pszczoły —
w koniczu dzwonią świerszcze, uchodźce z nad
[ścierni
naszych samotnych godzin towarzysze wierni — —
Na gruszach grają szerszenie-magnaty,
w złotogłowiach chodzące wielmoże —
czasem po wybielonej korze
jakiś stwór się przesunie wręgaty —
to znów śmignie wiewiórka w puszystej salopce —
to krety w ciszy sypią swe graniczne kopce — —

ZADUMA

Nad parkiem się rozpyła pomgła srebrno-sina —
gęstwa drzewin nasiąka wieczoru omroka — —
Koło mnie rdzawe liście wkrąg dzikiego wina
w cichych rozszepkach gwarzą długo i szeroko — —

W sercu się przeogromne rozrzewnienie budzi
i myśl roztapia wolno w wielką duszę świata,
co wszystkie stwory ziemi — kamienie i ludzi
macierzyńskim ramieniem miłośnie oplata — —

I człowiek wtedy staje twarz w twarz z tajemnicą,
nieuchwytną w swej boskiej, odwiecznej prostocie,
której karmą wszelakie jestestwa się sycą:
słońc bezmiary i nikłe przydrożne stokrocie — —

Z KSIĄŻKA

Bratem książkę — wychodziłem w świat
bez celu, bez drogi — ot, tak —
na pierwszej miedzy-m spotkanej się kładł
nawznak — —

Śmiało się słońce i zboża szeptały
i cisza była na calutkim globie,
bo wszystka ziemia, niebo, wszechświat cały
nacichł, zamilknął, zadumał się w sobie — —

Tak dobrze było i jasno na świecie,
tak bezgranicznie i tak niesłychanie,
złem razem z wiatrem gędzącym po łąnie
śmiał się jak dziecię i płakał jak dziecię — —

Kochałem wszystko i wszystkich na ziemi,
Boga i ludzi, zbóż złote kobierce,
bom przed się patrzył źrenicami swemi
przez twoje serce — —

Opowiadałem o mojej radości
szczerze, jak tylko umiałem najprościej
słońcu i łąnom i świerszczów gawiedzi,

*o dużych skrzydłach malowanych w prążki,
jako że byli najbliżsi sąsiedzi — —*

*A wtedy z mojej porzuconej książki
czytywał wiatr: odwracał uparcie
kartę po karcie — —*

SZCZĘŚĆ BOŻE

*Wychodzę świtem na srebrzyste rżyska,
wieczny wędrowiec cichych polnych dróg — —
We mgłach parskają już siwe koniska,
przez ściernie idzie pług — —
Uchylam rzeżko mego kapelusza
i temu chłopu, co orze,
krzyczę radośnie, aż śmieje się dusza:
Szczęść Boże! — Szczęść Boże!*

*A potem witam na rozstajnej drodze
dwóch świętych pańskich przy kapliczce białej,
którym w zimnicy poranka brody oszroniały —
przeło na słońce brwi swe nastroszyli srodze — —*

*Mgły bieluchne przysiadły na ścierni,
nad mgłami szczyty boru czernią się w lazurze,
jakby w długim szeregu rycerze pancerni
z skrzydliskami u ramion przyklekli na chmurze
przed bitwą — —*

*Słońce przez mgły na rędziny rdzawe
zeszło promienną modlitwą
i sunie w złotym ornacie*

przed mietlice, przez stokłosa,
przez ugorów sznur,
przez zbieloną szronem trawę,
gdzie na białej fujarzynie
rzewne piosnki chłopak bosy
gra pod gęsi wtór — —

Uchylam rzeżko mego kapelusza
i tak na całe przestworze
wszystkiemu światu, spotkanemu ninie
krzyczę radośnie, aż śmieje się dusza:
Szczęść Boże! — Szczęść Boże!

I NIE ODEJDĘ WCZEŚNIEJ

Grzesiowi Lipczyńskiemu.

I nie odejdę wcześniej,
aż wam na skroniach zbóż wieniec położą,
z pszenicznych kłosów zwity —
aż przyjdą w chórach dożynkowej pieśni
gromadą hożą —
aż w słońcu, w płasie rozęczą się wkrąg
na rogatywkach pawiookie kity
i wioną ogień purpurowych wstąg
w płasawicowych kołowrotów wicherze — —

Kiedy już ziarna jare i ozimy
złotą powodzią zasypią wam spichrze
i kiedy pełne stodoły domkniecie,
a na szerokim, na przestrzennym świecie
ostaną ściernie,
jak różnowzore, wspaniałe kilimy,
różem wrzosowisk dziergane misternie — —

Wtedy odejdę: wezmę kij pielgrzymi —
otulę barki najprostszą sukmaną —
wpół się słomianem powrośtem przepaszę —

*i kiedy zorze promieniste wstaną,
żegnając krzyżem jasne serca wasze
odejdę w słońcu, drogą wprost od proga
do mego Boga — —*

W GODZINĘ ZMIERZCHU

*A kiedy przyjdzie godzina zmierzchowa
wyjdę na pola szumiące —
cichy, bez żalu, bez jednego słowa
pożegnam słońce — —*

*Na kwietnej miedzy w łanach się ułożę,
w przelewnych falach utonę:
duszę mą wchłonie kłosów złote morze,
morze bezkresne, morze nieskończone — —*

*I będę wonczas już modlitwą jeno,
w której przed Sobą rozplynął się Bóg — —
Boże mnie wichry na światy pożeną,
na siność mgielnych smug — —*

W WIGILJĘ

Pod gwiazd migoty,
nad sniegów oceanem
płynęła pieśń legendy złotej
przez wszystką ziemię:
że hen, daleko, w kraju nad Jordanem,
w mieście Betlejemie
w nędzarnej szopie
zrodził się Bóg —
i że położon w żłobie — —

Dobłą nowinę ona,
na błękitów wypisaną stropie
migotem gwiazdnych smug
w najświętszej ciszy podaliśmy sobie — —

Małą twarzyczkę splotioną
skryłaś na piersi mojej:
Przez twoje łono
zstępował do naszych podwoi
syn człowieczy — —

Dzičililiśmy z sobą bieluchne opłatki
przy przenaświętszej wieczerzy,

nawzajem bożej zlecając się pieczy — —
Miałaś coś w sobie z dostojęstwa matki,
kapłanki ogniska,
kiedyś pod zaszept słonecznych pacierzy
łamała pszenny chleb — —
Byłaś mi wtedy tak święta a bliska,
że się ku twoim pochyliłem stopom —
przed wielkim darem dobrotliwych nieb — —

A potem my poszli w radosnej pokorze
przez śnieg skrzypiący ku mrocznej oborze —
obeszlim cicho żłoby
i z każdym stworem chudoby
opłatkiem my się dzielili,
jak z bratem — —

(Mówią, że świętą nocą wigilji,
gdy północ idzie nad światem
wszelakie stwory boże
ludzkim gadają językiem — —)

SĄ DUSZE

Są dusze, obok których cicho się przechodzi,
 jak przed tabernaculum, z pochyleniem czoła — —
 mają w sobie coś z gwiazdnej, srebrzystej powo-
 [dzi —
 z bożego dostojeństwa — z dobroci anioła —

Są, jakby rzeszy ludzkiej widomem sumieniem
 nad tłumy podniesione przedziwną pokorą —
 są skruchą dusz i wielkiem, świętem rozgrzesze-
 [niem —
 i umęczone serca tkliwie w dłonie biorą — —

Nie bronisz im spoglądać do najskrytszych głębi —
 duszę swą im otwierasz z szczerością prostaczą,
 bo czujesz, że choć patrzą oczyma gołębi,
 to wszystko, wszystko widzą — i wszystko prze-
 [baczą — —

SPIS RZECZY

	Str.
Na kogoś czekam	7
Najdostojniejszy gość	8
Święty dzień	10
Jej list I	12
Przychodzę codzień	13
Pójdź ze mną	14
Twoje ciało	16
Dusza	17
Zmartwychwstanie	18
O świcie	20
W twych jasnych dłoniach	22
Błogostawieństwem	23
A On Sam patrzy	24
Las	26
Niekiedy	28
Te ciche jasne noce	29
Żabi sejmik	31
Przyjdź Królestwo Twoje	34
W radosnej podzięce	36
Maki	37
Dataś mi chwile	38
Łzy	39
Nad księgą	40
Jej list II	42
Na grani Tatr	44
Święty Boże	46
Niedźwiedź	48
W sadzie	51
Zaduma	52

	<i>Str.</i>
<i>Z książką</i>	<i>53</i>
<i>Szczęść Boże</i>	<i>55</i>
<i>I nie odejdę</i>	<i>57</i>
<i>W godzinę zmierzchu</i>	<i>59</i>
<i>W wigilję</i>	<i>60</i>
<i>Są dusze</i>	<i>62</i>